Nr. 186 Kraków, piątek 11 sierpnia 1911. Rocznik XX.

Redakcya i Administracya: Kraków, ul. Filipa 11. (Telefon Nr. 396).

Prenumerata miesięczna: z odsyłką 2 K, bez odsyłki 1 K 60 h, zagranicą 2 mk. 30 fen., 3 fr. 50 ctm., 2½ szyl., 70 ct. ameryk.

Prenumerata tygodniowa w Krakowie 40 h, z dostawą do domu 46 h.

Cena numeru 8 h.

Adres na telegramy: Naprzód Kraków. Konto czekowe Nr. 34.095.

NAPRZÓD

Organ centralny polskiej partyi socyalno-demokratycznej.

Wychodzi codziennie popołudniu z wyjątkiem niedziel i świąt.

Dział inseratowy: Kraków, ul. Marka 21. (Telef. Nr. 1354). Konto czekowe Nr. 910.

Klerykali o swej „pracy“.

W czterech artykułach rozpisał się „Głos narodu“ o przeszłości i przyszłości „chrześcijańskich organizacyj robotniczych“ w Galicyi z okazyi zwołanego do Przemyśla „kongresu maryańskiego“. Główny organ klerykałów galicyjskich wyjątkowo pisze prawdę, przyznając, że „praca“ nad utworzeniem organizacyj chrześcijańskich u nas była bezskuteczną, a na przyszłość daje rady, które z pewnością doprowadzą do tego samego rezultatu, tj. do niczego.

Przedewszystkiem przyznaje „Głos narodu“, że „organizacya chrześcijańska“ nie była celem sama przez się, lecz manewrem naśladującym i konkurencyjnym z pracą organizacyjną socyalnej demokracyi. Przyznanie to zawarte jest w cytacie następującym:

„Kiedy przed laty podjęto u nas akcyę katolicko-społeczną, kiedy jej pierwsze początki rzucał ś. p. ks. Badeni T. J., powstała ona jako odruch przeciwko szerzącemu się zwłaszcza po miastach socyalizmowi. Akcya sprowadzona została odrazu i przedewszystkiem na teren organizacyj robotniczo-mieszczańskich, które skupiały się w „Gwiazdach“, „Skałach“ i „Przyjaźniach“. Wtedy jednak odrazu popełniono zasadniczy błąd, którego skutki przetrwały do dzisiaj i bardzo często uniemożliwiają rozwój pracy katolickiej wśród rzesz robotniczych“.

A więc, gdyby socyaliści nie byli wzięli w swe ręce organizowania mas pracujących po miastach, byliby klerykali razem ze swymi opiekunami jezuickimi siedzieli cicho i nie byli spełniali „uczynków miłosierdzia“. Wzięli się więc za przykładem socyalistów do roboty organizacyjnej, ale w jaki sposób?

„Socyaliści odrazu stanęli na gruncie organizacyi ekonomicznej, zawodowej. Przez krótki bardzo czas prowadzili propagandę na rzecz stow. oświatowo-zabawowych, a natomiast zaraz, gdy tylko choć trochę ludzi w tych przygotowawczych stowarzyszeniach skupili, przystępowali wszędzie do organizowania związków zawodowych, których zadaniem było nietylko dawać rozrywkę masom robotniczym, ale iść w bój o ich prawa i o chleb powszedni“.

Naturalnie, że zadaniem organizacyj socyalistycznych było nauczanie robotników walki o prawa i o chleb i tej właśnie pracy zawdzięczają, że nietylko się utrzymali, ale i wzrośli. Jak natomiast organizowali robotników klerykali? Na to odpowiada „Głos narodu“ z całą naiwną szczerością:

„Podczas gdy socyalistyczne organizacye wprawdzie ze zmienną siłą wewnętrzną prosperując raz lepiej, raz gorzej, jednak przetrwały, gdyż cel ich sam ludzi skupiał i wyrabiał, nasze katolicko-społeczne stowarzyszenia zbyt szybko straciły swój rozmach. I albo wyłamały się z pod sztandaru katolickiego, idąc w służbę wyłącznie partyj politycznych, jak naprzykład wiele „Gwiazd“ i „Skał“, albo też wprost zmarniały, jak przeważna ilość „Przyjaźni“.

To jest przyznany przez klerykałów wynik ich „pracy“! Dotąd czytamy codzień w „Głosie narodu“ i pokrewnych mu organach o „upadku socyalizmu“ (vide sprawozdania z obchodu 1 Maja) i naodwrót hymny pochwalne na „świetnie się rozwijające“ organizacye chrześcijańskie. Czytamy w ich sprawozdaniach o dziesiątkach tysięcy członków i o wielkich funduszach, co zawsze piętnowaliśmy jako blagę. Teraz sami klerykali przyznają, że organizacye ich albo całkiem zmarniały, albo stały się przyczepkami do rozmaitych stronnictw politycznych, albo — co my ze swej strony dodajemy — zamieniły się czy to w nory pijackie, czy to w związki łamistrejków.

„Głos narodu“ ubolewa, że „wszystkie organizacye chrześcijańskie chciałyby mieć na swem czele księży“. Ubolewanie to nie odnosi się do zawstydzającego faktu, że robotnicy rzekomo żądają nad sobą kurateli księży, ale do tego, że księża tych żądań nie są w stanie spełnić, bo jest ich za mało. My natomiast widzimy co innego: niema „organizacyi chrześcijańskiej“ bez księdza i niema księdza wyrastającego ponad poziom przeciętnego proboszcza wiejskiego, któryby nie starał się stanąć na czele jakiejś „organizacyi“ jako dobrego podnóżka do zrobienia karyery. Niema prawie przykładu, żeby jakaś „organizacya chrześcijańska“ sama się rządziła, żeby na jej czele nie stał albo ksiądz, albo jakaś inna „wybitna osobistość“. Przyznaje to „Głos narodu“, pisząc:

„Ci, którzy ster akcyi „od góry“ w swe ręce ujęli, nie pojęli jej jako pracy od podstaw, ale jako chrześcijańską filantropię, która stawiała zasadę nie współpracy i równorzędności z szerokimi warstwami, wśród których akcyę podejmowano, ale pewnej supremacyi, nieraz bardzo arystokratycznej, która rzucone hasła wypaczała i osłabiała. I właśnie ten duch, który po części do dzisiaj przetrwał, jest jednym z powodów, dlaczego akcya związków zawodowych chrześcijańskich nie znalazła dostatecznego poparcia, mimo, iż jest właściwie jedyną formą organizacyjną, która może stanowić podstawę pracy na szerszą skalę pomyślanej“.

Księża i arystokraci, kuratorowie i matki chrzestne, oto symbole, pod jakimi klerykali próbowali stwarzać „organizacye“ dla walki z socyalizmem. Jak im się to powiodło, mówią lamenty „Głosu narodu“, mówią tuziny powstających i prędko upadających pism klerykalnych, mówią zresztą wyniki ostatnich wyborów do parlamentu. Nietylko w Galicyi wymieciono do nogi klerykałów i księży, ale tosamo stało się w całej Austryi. Z Galicyi nie wyszedł ani jeden ksiądz i ani jeden z tych, którzy pod komendą księży „robili w organizacyi“. Sromotnie legł Zgórniak, upadł Stojałowski razem ze swym pupilem Stohandlem, legli wszyscy wielcy i mali chorążowie klerykalizmu i żadna siła, żadne sztuczne oddechanie nie przyprowadzi ich do życia.

Mogą klerykali urządzać sobie kongresy i odpusty, mogą galwanizować swego trupa i uśmiercać na cierpliwym papierze organizacye socyalistyczne; jednego nie dokażą, mianowicie żeby mieli ludzi. Mogą budować za księże pieniądze domy, które będą stały pustką; mogą stać się filią „wielko-austryackiej ligi“ i brać pieniądze od międzynarodowej arystokracyi i międzynarodowego klerykalizmu, a przytem wycierać sobie gęby „beznarodowymi socyalistami“; — trupa do życia nie pobudzą. A że „organizacye chrześcijańskie“ są trupem, widział cały Kraków na własne oczy podczas obchodu grunwaldzkiego.

Panama warszawska.

„Dziennik petersburski“ rozpoczął seryę artykułów, odsłaniających różne krzyczące nadużycia, których terenem jest Warszawa. W pierwszym z artykułów omówił był fakt ogólniejszy: przyczynek do t. zw. rewizyj senatorskich. Oto senator Neuhardt wydobył na jaw pomiędzy innymi różne haniebne sprawki podpułkownika Kowalewskiego, naczelnika straży ziemskiej oddziału wolskiego (na krańcach Warszawy).

Skutek: Izba sądowa warszawska wyniosła wyrok na 2½ roku batalionów dyscyplinarnych (które niewątpliwie zniesie pełna amnestya carska, jak już się to stało z takimiż łotrami — Reinbotem i Korotkijem w Moskwie) — natomiast świadkowie, którzy stwierdzali przed sądem łotrostwa Kowalewskiego zostali skutkiem fałszywych denuncyacyj tegoż i jego kompanów oraz *ad hoc* wynajętych opryszków — oddani na pastwę ochranie, jako rzekomi rewolucyoniści.

I chociaż denuncyacye robione były z taką bezczelnością, iż do liczby niebezpiecznych rewolucyonistów i bojowców z doby rewolucyjnej zaliczony został i syn jednego ze świadków, którego wiek dziś zaledwie sięga lat... 8 — dochodzenia prowadzono na ogromną skalę. Policyjno-żandarmscy druhowie Kowalewskiego ani chcą się domyślać, że to zemsta gada...

Dalsze rewelacye „Dziennika petersburskiego“ dotyczą całej seryi nadużyć, których widownią był magistrat warszawski, nadużyć powodujących, iż miasto, posiadające ogromne dochody pod względem wszelkich instytucyj kulturalnych i dobroczynnych stoi na poziomie niesłychanie niskim.

Historye o fałszywych rachunkach i dostawach, o przekupstwach, przy kupnie gruntów przez miasto — dochodziły do wiadomości naszych czytelników w okresie rewelacyj warszawskiego „Gońca“, oraz późniejszych śledztw i dochodzeń. Nową nutę w rozpoczętej seryi artykułów „Dziennika petersburskiego“, tworzy to, iż demaskuje on i osoby, które z zabagnionych stosunków w zarządzie miasta w sposób bezwzględny korzystały, by z krzywdą miasta swoje wypchać kieszenie. A nie byli to li tylko jacyś zawodowi spekulanci, nawykli do nieczynienia sobie żadnych skrupułów, lecz i „czoło“ arystokracyi. Oto jak „Dziennik petersburski“ pisze:

„Za tak zwaną „odpowiedzialną administracyę“ tramwajów, w której nikt za nic nie odpowiada miasto płaci dzisiaj sześćset tysięcy rubli. Za lat kilka płacić będzie milion. Prezydenci Stanów Zjednoczonych i Francyi pobierają mniej, aniżeli książę Czetwertyński, książę Radziwiłł, książę Woroniecki i pan Spokorny.

Tamtym mniej płacą wielkie republiki, aniżeli tym Warszawa. P. Spokorny ma przynajmniej pozór: on jeden naprawdę zarządza — on jeden pracuje. Ale inżynier Chorąży tak samo dobrze administrował tramwajami — a miał, o ile się nie mylimy, dwanaście tysięcy rubli. Ach — różnica. Tamtemu płacili Belgijczycy — ten płaci sobie sam. O ile jednak p. Spokorny do pobieranej pensyi ma jaki-taki pretekst — pracę o tyle książęta — Woroniecki, Czetwertyński i Radziwiłł korzystają tylko z niesłychanych warunków, w jakich znajduje się kraj — z jego niemocy — z jego zależności od najrozmaitszych widzimisię. Zawarli kontrakt, dobry dla siebie — marny dla miasta — kontrakt, jakiego nikt nigdy i nigdzie nie zawierał. Nie dają nic — biorą miliony. Skąd? A oto z miasta analfabetów, bandytów, nędzarzy — z miasta, w którym dla braku szkół i szpitali — nie wolno czytać, chorować, leczyć się.

Bądźmy najbardziej wyrozumiali. Przypuśćmy, iż p. Spokornemu pobierana przezeń pensya należy się. Nieprawda — ale przy-

ANDRZEJ STRUG.

Pan i parobek.

2)

— To nic, zaraz przestanę — uspokajał go felczer. — Zaraz będzie koniec. Polecę do apteki po maść. Rozsmaruje się, obwiąże i koniec. Nie będzie nic boleć. Potem, aby leżeć i spać. W tydzień przejdzie. Aby jeszcze chwilę...

Ale pan Złotowski stękał coraz okropniej. Wówczas starosta pan Włoczewski, mądry i stary, wiedząc, o co idzie, skatowanemu towarzyszowi, rzekł z powagą:

— Dajno spokój, Walery, i nie dręcz się napróżno. W tem niema żadnej hańby ani ujmy dla honoru. Wiesz przecie, gdzie jesteś i gdzie my wszyscy. Katorga! Dziś tobie, jutro mnie. Tu niema się czego wstydzić. I kogo się wstydzisz? Nas? Głupstwo! Czas już zapomnieć, jak tam kiedyś bywało...

Pan Złotowski odwrócił twarz od ściany i jego oczy zalane łzami spotkały się z przerażonem spojrzeniem Franka, który klęczał tuż przy tapczanie i trzymał oburącz wielką miskę z wodą. Dziedzic patrzał na niego długo. Wreszcie wymówił łkającym głosem przenikliwie i prosząco:

— Daruj mi, Franek, daruj mi zniewagę i moją niesprawiedliwość...

Chłop cofnął się w przestrachu i ulał na ziemię z pół miski wody.

* * *

Kompania w celi Nr. 7 żyła naogół zgodnie, bo po wielu zmianach i kolejach ludzie się nareszcie dobrali. Byli u siebie i między sobą. W innych większych celach, mieszczących po czterdziestu ludzi, siedzieli pomieszani z najrozmaitszą kryminalną zbieraniną, która zawsze przeważała liczbą i przeprowadzała swoje zbójeckie obyczaje i obmierzłe katorżne prawo. Tutaj na dwunastu więźniów było tylko dwóch obcych, którzy zresztą w niczem nie przeszkadzali, bo jeden „Michaił bożyj czełowiek“ był to wiecznie milczący mistyk sekciarz, żyjący zda się poza realnym światem, a drugi, chory umysłowo i na zawsze już uspokojony góral kaukaski, nie znał żadnego języka prócz ojczystego i odzywał się do niego tylko jeden jedyny pan Ścisło, który jeszcze miał głowę do żartów. Po parę razy na dzień podchodził do tatarzyna i pytał surowo:

— Kto ty?

— Guchremas Ogły Kuwardys Hatan Caweł Tepimo — odpowiadał posłusznie idyota i na tem kończyła się rozmowa.

Nie bez tego, żeby się towarzysze nie posprzeczali między sobą lub nawet pokłócili — czy to o idee lub politykę, czy to o zwyczajne sprawy gospodarskie, o czajnik, o „panaszę“, o jaką miskę“.

Ale starosta pan Włoczowski zawsze umiał pogodzić zwaśnionych i utrzymać w kompanii ład i harmonię. Naogół wszyscy co do jednego byli ludzie poczciwi i szanujący się nawzajem. Siedzieli razem już od roku i jeżeli się nie pokochali, to przynajmniej przywykli do siebie. Poznali się już wszyscy nawzajem nawskróś, każdy już opowiedział o sobie po kilka razy wszystko, co tam miał ciekawszego, każdy wyrobił sobie już pogląd na całą resztę towarzyszów, określił i ułożył swój stosunek do każdego z osobna.

W celi było jako tako, spokojnie, ponuro, nudno. W pierwszym roku na roboty nie pędzili nikogo. W tym pierwszym roku przywykali ludzie ciężko do swego losu i do kajdan i dzień po dniu odrywali się mozolnie i boleśnie od dawnego życia i od wszystkiego, co tam za nimi w ojczyźnie pozostało. Każdy nosił w sobie własną troskę i niedolę i nad nią wzdychał. Ale powszedni dzień miał też swoje prawo i swój obyczaj. Żyło się jakoś, jakoś ten dzień schodził. Towarzysze jedli, spali, gadali, kłócili się, śpiewali, nudzili się, wzdychali, bawili się, jak mogli, nawet się śmiali.

Ustaliły się formy współżycia, różne poszczególne przywileje, osobliwe niektórych obowiązki i rodzinne przyzwyczajenia.

Wszyscy wiedzieli, że pan Klamborowski restaurator z Opatowa to człek porządny, ale łgarz zawodowy i wyspecyalizowany. Obiadami jednak i jedzeniem zarządzał sam pan Złotowski, którego kuchnia słynęła niegdyś w całym powiecie, a roboty kucharskie spełniał Franek. Każdy miał swój własny i osobisty pogląd na przyczyny upadku powołania, ale przegadał wszystkich i przekonał zawsze a codzień inaczej, pomocnik adwokata pan Puciało.

Najbogatszym w całej kompanii był dziedzic Złotowski, najuczeńszym pan Puciało, najmądrzejszym starosta Włoczewski, najdowcipniejszym pan Ścisło a najgłupszym Franek.

Wszyscy brali lekko felczera, małego pana Kociałkiewicza i kpili z niego dobrotliwie. Pan Ścisło brał lekko wszystkich i kpił ze wszystkich wymyślnie i nieraz zjadliwie. Wszyscy opiekowali się chorym księdzem Bajdołem, który stale i napróżno napędzał wszystkich do wzmożonej nabożności. Wszyscy wysługiwali się Frankiem, jak parobkiem, a on pracował za wszystkich, jakgdyby był w służbie i brał za to zapłatę. Specyalnie zaś i przedewszystkiem służył swojemu panu.

* * *

Z początku świeże były wszystkie wspomnienia. Przeżywali jeszcze ludzie poraz drugi i poraz dziesiąty to, co było kiedyś, a tak niedawno. Jeszcze nie ułożyło się to w duszach, jako rzeczy minione i jako przegrana sprawa. Jeszcze odgrażał się jaki taki, jeszcze poniektóry czegoś się tajemnie spodziewał. Rozprawiano z ożywieniem, brano się za łby o różne kwestye sporne, opowiadano z zapałem o dwóch czynach i o rzeczach widzianych, i nikomu się nie nudziły długie opowiadania o bitwach, o przygodach bojowych i o tajemnicach roboty spiskowej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

puśćmy. Przypuśćmy także, że książę Woroniecki, do niedawna biedak, dziś już pałacowy pan — miał także pewien pozór do brania olbrzymiej pensyi z funduszów poszarpanej Warszawy. Ot poprostu — jest księciem — potrzebuje. Nie zarobi — bo nie potrafi. A żyć musi. Niechaj więc będzie na utrzymaniu Warszawy. Ale czego chcą książęta: Radziwiłł i Czetwertyński. Pierwszy za żoną wziął miliony. Drugi również. Nie potrzebują — mają. Z jakiej więc racyi oni — jasne pany polskie — oni, arystokraci wżarli się w chory organizm i wysysają zeń soki żywotne. Z jakiej racyi drą łyko tam, gdzie drzeć łyko grzech, od Sodomskiego większy?

Musimy otwarcie sprawy stawiać. Musimy powiedzieć sobie w oczy: zmarnieliśmy. I to najstraszniejsze. Urzędnik cyrkułowy z piętnasto, dwudziestopięcio, lub nawet piećdziesięciorublowej pensyi wyżyć nie może: musi brać łapówki. Cały szereg takich samych paryasów magistrackich za pobieranie datków siedzi na ławie oskarżonych. Im mówimy — „złodzieje“ i „łapownicy“. A oni dopuszczali się nadużyć z konieczności — z musu. Brali — bo nie mogli wyżyć z marnej pensyi.

Jakże naprzykład równać Pilara z księciem Czetwertyńskim — Butkiewicza, Kokara Hermana, Rutkowskiego z księciem Radziwiłłem — grabarza Czapskiego z księciem Woronieckim. Nie można. Nie wolno. Ci idą do więzienia. Ci pozbawieni praw. A tamci — śmietanka krajowa — podpisywali i podpisują wezwania do narodu, dyktują: co robić, jak robić — karcą. Koron ongi chcieli — dziś stają w szeregach, w których być nie powinni. Bo miasta analfabetów, bandytów, nędzarzy nie mogącego się bronić — nie należy krzywdzić na funduszach. A tu nietylko się krzywdzi — ale demoralizuje. Kiedy nie za cnotę, ale za występek uwolniono z magistratu p. Władysława Slaskiego, kiedy tenże p. Władysław Slaski dwukrotnie dostał się pod sąd — książe Czetwertyński znalazł dlań stanowisko: wziął go do siebie na plenipotenta. Gdy p. Zaremba protegował Pilara i Kunsztetera — oburzano się. Ale przeciwko księciu Czetwertyńskiemu nie wystąpił nikt. Tymczasem między p. Zarembą a ks. Czetwertyńskiem leży otchłań. Tamto był urzędniczek — syn szpiega — brat złodzieja. To jaśnie oświecony książę — prezes — poseł — dyplomata — wzór“.

Zjazd rapperswilski.

Telegramy z 10 sierpnia.

Rapparswil. Przesłuchanie Żeromskiego trwało wczoraj 6 godzin. Powtórzył on swe znane zarzuty. Kustosz Rużycki skonfrontywany z nim zaprzeczył tym zarzutom. Zbadanie natychmiastowe niektórych zarzutéw stwierdza, że wchodziło tu w grę nieporozumienie.

Komisya telegrafowała do p. Zygmunta Wasilewskiego, zapytując go, czy widział, że Rużycki używał elzewirów za tarczę do strzelania.

Komisya prace swe ukończy prawdopodobnie w piątek, a rezultat ich przedłoży na posiedzeniu publicznem. Będzie się domagała reformy w zarządzie muzeum.

Na grobie ś. p. Bukowskiego złożono wczoraj wieniec.

Rapparswil. Przesłuchanie odbywa się w wielkiej sali muzeum, skąd roztacza się wspaniały widok na jezioro. Upał ogromny.

Wczoraj po południu przesłuchano w dalszym ciągu Żeromskiego, potem przesłuchiwano dra Gierszyńskiego, Gębarzewskiego i Szpotańskiego. Komisya badała sale muzeum i zakwestyonowane przedmioty.

Dziś przed południem przesłuchania będą prawdopodobnie ukończone.

Strejk w Londynie.

Wskutek strejku robotników dokowych grozi Londynowi brak mięsa. Od końca ubiegłego tygodnia nie wyładowano w dokach ani jednego okrętu z chłodzonem albo mrożonem mięsem. Wprawdzie w magazynach są większe niż zazwyczaj zapasy, ale i te za parę dni zostaną wyczerpane. Z braku mięsa skorzystali handlarze i podwyższyli ceny prawie w dwójnasób. W porcie leżą wprawdzie okręty z zamrożonem mięsem, ale zachodzi niebezpieczeństwo zepsucia się mięsa z powodu braku węgla dla opalania maszyn poruszających chłodzarnie.

Zgromadzenie strejkujących.

W niedzielę jedna z najpiękniejszych ulic Londynu, Trafalgar square, była widownią niezwykłej demonstracyi strejkujących. Przeszło 10.000 strejkujących eskortowanych przez garstkę policyantów maszerowało przez całą kilkukilometrową drogę w największym porządku. Policya podaje liczbę obecnych na placu pod pomnikiem Nelsona na 35.000.

Przemawiał reprezentant organizacyi Ben Tillet, wskazując na to, że organizacya dla poparcia strejkujących gotowa chwycić się blokady wszystkich portów Wielkiej Brytanii, ewentualnie strejku międzynarodowego. Groźba ta okazała się jednak zbyteczną, gdyż na stopnie pomnika wszedł Harry Gosling i ogłosił, że sąd polubowny przyznał strejkującym 8 pensów (80 h) za godzinę normalnej pracy, a 1 szylinga (1 K 20 h) za każdą godzinę nadobowiązkową.

Tłum okrzykami i śpiewami przyjął to ogłoszenie, poczem mowca przypomniał strejkującym, że nie wolno im wrócić do pracy bez rozkazu komitetu wykonawczego i że we wtorek odbędą się w ministerstwie handlu rokowania w sprawie strejku robotników węglowych i wyładowywaczy węgla. A wkońcu — zakończył mowca — gdy wrócicie do roboty, nie zapomnijcie ze sobą

zabrać swych legitymacyj,

gdyż każdy musi ją pokazać.

Strejk woźniców ciężarów rozszerza się. Woźniców tych jest 25.000. Żądają oni pracy tygodniowej 60 godzin i płacy 28 szylingów za jednokonny wóz, 32 szylingów za dwukonny i 35 szylingów za trzykonny. Pracodawcy zgadzają się na 72 godzin pracy i na płacę 26, 30 i 33 szylingów.

W dokach praca spoczywa zupełnie. Wyjątek zrobili strejkujący dla towarów przeznaczonych do szpitali, które wyładowują ze względu na chorych.

Przegląd społeczny.

Strejk ślusarzy budowlanych i warsztatowych w Krakowie trwa dalej. Strejkujący trzymają się solidarnie. Majstrowie do tej pory nie zdołali zwerbować ani jednego łamistrejka. Majstrowie widząc, że wszystkie ich obietnice nie odnoszą skutku, wpadli na nowy pomysł: Wczoraj rozpuścili pogłoskę, że przyjmą każdego ślusarza do pracy i każdy będzie mógł bezpiecznie pracować pod ochroną policyi, gdyż panowie majstrowie dołożą starań, by jak najwięcej policyi i szpiclów skonsygnować przed warsztatami i budowami, gdzie pracować będą łamistrejki. Każdy łamistrejk otrzyma sowite wynagrodzenie, a oprócz tego jedzenie, picie i papierosy.

Okazało się jednak, że i te obiecanki zostały bez rezultatu. Majstrowie widząc, że ślusarze nie dają się złapać na obietnice, sami biedacy zakasali rękawy i zabrali się do pracy, z czego jesteśmy bardzo zadowoleni, gdyż obecnie nabiorą przekonania, jak należy cenić pracę robotnika.

Naprawdę, nastały ciężkie czasy dla panów majstrów, gdyż marzyli o wypoczynku, o wyjeździe do badów, a tu podczas takiego gorąca trzeba się zabrać do pracy i w pocie czoła harować.

Kraków dla ślusarzy budowlanych i warsztatowych zamknięty aż do odwołania.

Strejk w piekarni p. Starka w Krakowie trwa dalej. P. Starek usiłuje złamać solidarność robotników, wmawiając w nich, że strejk już skończony, że robotnicy przegrali i t. p. Takiemi to sztuczkami chce zwabić robotników. Lecz dawno minęły te czasy, kiedy można było w ten sposób robotników zwabić, bo sami między sobą się zwalczali, z czego korzystali majstrowie. Dziś robotnicy mają już na tyle świadomości, że takim kuszeniom nie ulegną.

Robotnicy strejkujący z piekarni p. Starka uchwalili na ostatniem posiedzeniu wytrwać w dalszej walce i nie dać posłuchu żadnym namowom.

Ruch cennikowy introligatorów lwowskich. Komisya cennikowa organizacyi robotników i robotnic introligatorskich we Lwowie przedłożyła dnia 8 b. m. pracodawcow drukowany memoryał, zawierający projekt umowy cennikowej. Żądania obejmują: 9 godzinny dzień roboczy, płace minimalne szczegółowo ustalone w projekcie, 15-procentową podwyżkę płac itd. Robotników introligatorskich z prowincyi ostrzega się, żeby aż do ukończenia akcyi cennikowej omijali Lwów.

KRONIKA.

Kraków, 20 sierpnia.

Nowiny krakowskie.

Walka Kosobuckiego z Wolnym. Na dziś zapowiedziana rozprawa p. Kosobuckiego przeciw p. Wolnemu nie odbyła się, gdyż nie doręczono wezwania p. Wolnemu, który bawi zagranicą.

Rewizya w Izbie rękodzielniczej, prowadzona przez delegowanych urzędników magistratu, wykryła jeszcze jednę defraudacyę Głowackiego. Skonstatowano, że zdefraudował on na szkodę cechu rzeźbiarzy 600 K złożone na książeczce Kasy oszczędności z przeznaczeniem 500 K na budowę domu Izby. Jak sądzą, przy dalszej rewizyi wyjdą na jaw jeszcze inne malwersacye Głowackiego.

Sprawy miejskie. Sekcya ekonomiczna na wczorajszem posiedzeniu uchwaliła przedłożyć Radzie miasta wniosek w sprawie linii regulacyjnej dla ulic Skałecznej i Augustyańskiej, a to celem rozszerzeniem tych ulic przez zakupno gruntów dla otwarcia widoku na kościół św. Katarzyny; dalej uchwaliła wniosek w sprawie otwarcia przedłużenia ul. św. Józefa; uchwaliła odstąpić stowarzyszeniu urzędniczek państwowych w Krakowie pod budowę własnego domu grunt miejski przy ul. Blichowej; w końcu ustaliła granicę katastralną między Kazimierzem a Grzegórzkami, która ciągnąć się będzie wschodnią stroną gruntów kolejowych od ul. Grzegórzeckiej aż do Wisły.

Krwawy most. Na taką nazwę zasługuje budujący się trzeci most na Wiśle, przy którym była już niezliczona liczba nieszczęśliwych wypadków. Wczoraj znowu 55 letni Jakób Pater spadł z rusztowania i złamał kilka żeber. Pogotowie przewiozło go do szpitala.

Kalectwo przy pracy. Przy budowie domu przy ul. Krakowskiej spadł wczoraj z rusztowania cieśla Jan Dreścik i ciężko się potłukł.

Agent policyjny prowokuje nocne awantury. Wczoraj w nocy, o godz. 11·45, byli przechodnie idący ul. Grodzką świadkami następującego zajścia.

W stronę „Telegrafu“ prowadził żołnierz policyjny, aresztowaną przy ul. Floryańskiej prostytukę, a parę kroków za nimi szła druga prostytutka w towarzystwie jakiegoś człowieka. Z dorywczych słów tej drugiej pary można było wnioskować, że pan ten chciał odwieść tę drugą od zamiaru „odbicia“ aresztowanej. Na rogu ulicy Grodkiej a placu Franciszkańskiego sprzeczka o to przeszła wprost w bójkę. Człowiek bowiem idący z drugą prostytutką, zaczął ją okładać bez powodu razami i w brutalny sposób chwyciwszy ją wpół, starał się przemocą wpakować ją do fiakra jadącego w kierunku Rynku. Na krzyk katowanej zbiegła się masa ludzi, między innymi panowie M. i S. Pan M., widząc co się dzieje, stanął w obronie katowanej i wezwał policyanta Nr. 195, nadbiegłego z Rynku, by położył kres awanturze i aresztował brutalnego napastnika. Jakie było zdziwienie świadków, gdy usłyszeli, że pan M. na rozkaz „pana inspektora“ jest aresztowanym i ma iść „pod telegraf!“ Dopiero tutaj dowiedział się pan M., że człowiek, który całe zajście wywołał, jest agentem policyjnym i że oskarża p. M. o „przeszkadzanie w urzędowaniu“. Po spisaniu protokołu wypuszczono p. M. na wolność.

Zapytujemy, dokąd trwać będą jeszcze tego rodzaju awantury przez policyę wywoływane? Czy dyrekcya policyi, mając tyle podobnych zajść w ostatnim czasie, nie zdążyła jeszcze pouczyć policyantów i agentów, jak mają postępować z obywatelami, by nie potęgowali jeszcze bardziej, swoim sposobem „urzędowania“, rozgoryczenia już istniejącego?

Istnie policyjnem było też postępowanie „pana inspektora“, który, widząc swój błąd, nie chciał nawet wobec komisarza podać swego nazwiska poszkodowanemu w tym wypadku panu M.

Z Dębnik piszą nam: Kilku młodzieńców urządza stale orgie na ul. Ogrodowej. Około

---

N. OLIGIER.

Jesienna pieśń.

23)

Te nowe ślady zniszczenia nie są tak widoczne, jak to ogromne zło naniesione owej zimowej nocy, ale one niewiadomo dlaczego bardzo niepokoją niemowę. W nich czuje on groźbę, wymierzoną przeciw całej przyszłości, przeciw wszystkim nadziejom umocnionym przez zimę. I robak z tępemi szczękami gryzie coraz boleśniej.

Nakoniec przeminęły ciepłe dni. Zapachniało słotą. Wicher dął zimnymi porywami, kręcił słomą, nanosił śmieci w kałużę wysychającą na dnie stawu. Nisko pełzły deszczowe chmury, wszystko sposępniało, zszarzało, stary dom zdawał się wrastać w ziemię.

W taki to dzień przed samem południem ze strony miasta podjechał do dworu prosty pleciony wózek na długich przegniłych drągach. Niemowa był daleko w ogrodzie, ale zdążył przylecieć otworzyć wrota. Dyszłowy koń z wielką głową i strzałką na czole powolnie wciągnął wózek na dziedziniec. Drugi na rozluźnionych postronkach przyprzężony wlókł się leniwie i zatrzymawszy się zaraz zamknął oczy. Nieznajomy stangret zeskoczył z kozła i podreptał na jednem miejscu, rozprostowując nogi.

— Pomóż mi zejść — rzekła doń panienka. — Bardzo wysoki stopień.

Niemowa znalazł się przed stangretem, bardzo ostrożnie wziął panienkę na ręce i postawił na ziemi. Wtedy panienka spojrzała na swój dom, na wychylające się z za dachu topole, na zarosły trawą dziedziniec, wyjęła z woreczka chustkę i zapłakała. Podróżnych bagaży nie miała wcale, jedną tylko większą torebkę z ciemno zielonej, wytartej na szwach skóry — w tej torbie niemowa spostrzegł prócz chustki mydło, szczotkę do zębów i zwinięty w trąbkę ręcznik.

— Boże, Boże mój! — rzekła panienka, gdy chustka jej cała już przemokła od łez. — Po co ja przyjechałam. Nie myślałam, że będzie tak ciężko.

Stangret widocznie czekał na jej rozporządzenia, a ona stała na środku podwórza, nic już nie mówiła i tylko rozglądała się wkoło siebie. Wtedy podwiózł wózek do szopy, wyprzągł konie, podetknął im znalezioną wiązkę nawpół zgniłego siana, pokiwał głowę i założywszy bat za pas, poszedł ku wsi.

Niemowa uważnie patrzał na panienkę. No, ot i przyjechała nareszcie. Stało się to zupełnie inaczej, jakby należało, ale może być, że wszystko ułoży się jeszcze. A że płacze ona, to nic, to przejdzie. Ona i dawniej często płakała.

Oczy panienki długo unikały niemego. Nakoniec spotkały się — wyblakłe, spuchnięte od łez oczy starej kobiety, z mętnemi, głęboko pod nawisłemi brwiami osadzonemi oczkami niemowy.

Panienka na chwilę opuściła wzrok, potem wpatrzyła się znów, jakby zdziwiona:

— A ty, niemowo... ty cały czas tu przeżyłeś?

Niemowa zrozumiał i twierdząco kiwnął głową. Tak, on cały czas przeżył tutaj. Jakże mogło być inaczej? Ale po cóż pytać o to. Lepiej iść i obejrzeć wszystko, co on uchronił. Niemowa smutno mruknął. Żywa radość, jakiej doświadczył na widok panienki, znów zamienia się w trwogę.

Panienka, zapewne bardzo zmęczona, chwieje się i szuka oparcia. Niemowa gestem ukazuje na dom, zapraszając do wejścia, ale ona ze strachem woła:

— Nie! nie! za nic na świecie! — i pomyślawszy, dodaje:

— Zaprowadź mnie lepiej do ogrodu. Posiedzę trochę i odpocznę. Tam oni przecie nic nie zniszczyli?

Niemowa chciał przepuścić naprzód panienkę, ale ona ciągle chowała się za jego plecami.

Wtedy równym, sztywnym krokiem sam poszedł naprzód, przeprowadził ją mimo domu i wszedł do ogrodu.

— Boże mój, Boże mój! — powtarzała panienka monotonnym, naderwanym głosem. — Po co ja przyjechałam?

Jako tako dobrała się do ławki, usiadła niewygodnie, bokiem i silnie uchwyciła się chropowatej poręczy.

— Więc ty cały czas tu byłeś? Cały czas? Wiem. Mówił mi sędzia śledczy. Niedługo, będą ich sądzić. Skażą ich na aresztanckie roty, a może poprostu do więzienia. To dużo zamało, jak ty myślisz? Zresztą, tobie wszystko jedno, ty nie rozumiesz.

Ale niemowa zrozumiał, że panienka mówi o tych, co dwór spustoszyli i gniewnie się nachmurzył. Wąsy nastroszyły się pod szerokiemi nozdrzami. To jeszcze bardziej rozdrażniło panienkę, bo i tak było jej trochę straszno w zapuszczonym ogrodzie.

— Gdzie stangret poszedł? Zapewne owsa kupić. U nas niema owsa, niema nic... Czem ty żywiłeś się niemowo?... Tak schudłeś, jak gdybyś nie jadł całą zimę. Teraz będziesz mógł odpocząć niemowo... Pójdziesz dokąd zechcesz... Już nic nie będziesz miał do pilnowania.

Niemowa nie śledził teraz za ruchem jej warg. Kilka wielkich kropli deszczu spadło na wilgotne drzewo ławki i on bał się, żeby panienka nie zmokła. I jak wprzódy, z uszanowaniem, lecz bardzo natrętnie wskazał naprzód na nisko obwisłe chmury, a potem na dom.

— Ależ nie... nie mogę. Deszcz zaraz przyjdzie. Ja nie chcę. Daj mnie odpocząć trochę, taka jestem zmęczona, miałam tyle kłopotów w mieście: z tą sprzedażą, z bankiem... A potem — droga. Trafiłam na kiepskie konie, szły wolno krok w krok.

Niemowa nastawał. Chciał jak najprędzej pokazać, że ustrzegł więcej, niż się panience zdaje.

(Ciąg dalszy nastąpi).

godz. 10 wieczór wychodzą z mandolami na ulicę, wyprawiając krzyki, śpiewy, gaszenie lamp i t. p. Gdy ktoś z mieszkających tamże lokatorów zwróci im uwagę, obrzucają go obelżywemi słowami. Wczoraj zabawa tych młodzików przeszła wszelkie grenice przyzwoitości, gdyż blisko do godz. 12 w nocy hałasowali, nie dając ludziom spać. Zabawa ich skoncentrowała się koło okien państwa M. przy ul. Ogrodowej l. 20, którzy to państwo nawet częstowali ich, zachęcając przez to do robienia awantur. Gdy jeden z lokatorów sąsiedniej kamienicy zeszedł do rozbawionych i prosił, aby się uciszyli, gdyż ma żonę słabą, pobili tegoż do krwi. Nazwiska młodzików są znane i za pobicie odpowiedzą przed sądem.

Mieszkańcy ul. Ogrodowej zwracają się do dyrekcyi policyi, aby posterunki policyjne nie stały tylko przy moście, lecz także i na innych ulicach, gdyż wskutek braku policyi podobne indywidua hardo podnoszą głowę.

Zarazem zaznaczamy, iż z jednego z szynków dostarczano bawiącym się trunków przez okno, które znosiła służąca państwa M., być może dlatego, iż pomiędzy bawiącymi się byli bliscy właścicielki szynku.

— **Zgubiono** wczoraj w restauracyi p. Suskiego w miejscu ustępowem portfel zawierający kilkaset koron, roczny bilet kolejowy i weksle. Uczciwy znalazca zechce oddać zgubę w dyrekcyi policyi, gdzie otrzyma stosowne wynagrodzenie.

Nowiny lwowskie.

Studenci lwowscy w carskiej niewoli. Śledztwo w sprawie studentów lwowskiej szkoły leśnej, Dąbrowskiego, Warzyńskiego, Skowrona i Jankowskiego, aresztowanych przez policyę rosyjską pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Austryi, zostało w tych dniach zakończone. Materyał śledczy został przekazany prokuratorowi kijowskiego sądu wojskowego. Wszyscy aresztowani są trzymani w kijowskiem więzieniu na Łukjanówce.

O napadzie morderczym, o którym wczoraj pisaliśmy, donoszą następujące szczegóły: Wczoraj nad ranem około godziny 3 45 dom pod l. 10 przy ul. Długosza był widownią krwawej sceny: spłoszeni złodzieje użyli browningów, zabijając jednego ze ścigających, a drugiego raniąc śmiertelnie. Jeden z lokatorów tej realności, zamieszkały na parterze, posłyszał około godziny $3^1/_2$ w mieszkaniu na pierwszem piętrze szmery, stuk otwieranych i przesuwanych sprzętów. Ponieważ lokatorzy tego mieszkania pp. Borkowscy wyjechali do Truskawca, nie zostawiając nikogo w mieszkaniu, lokator ów domyślił się, że w mieszkaniu ich gospodarują złodzieje. Zbudził więc dozorcę domu Józefa Bieniarza. Ten, obawiając się sam iść na górę, wyszedł na ulicę i wezwał policyanta na pomoc. Policyant z dobytą szablą udał się na górę głównymi schodami, Bieniarz zaś stanął na straży przy schodach bocznych na dziedzińcu, wziąwszy do pomocy mieszkającego w tej kamienicy czeladnika betoniarskiego Michała Oryszczaka. W mieszkaniu rzeczywiście gospodarowali złodzieje, którzy na widok policyanta rzucili się do ucieczki przez galeryjkę i boczne schody. Stojący na dole Bieniarz i Oryszczak rzucili się na złodziei, chcąc ich przytrzymać. W tej chwili złodziej, na którego rzucił się Oryszczak, strzelił do niego z browningu. Trafiony w czoło Oryszczak puścił złodzieja i okrwawiony schronił się do komórki. Tymczasem Bieniarz ścigał dalej złodziei, którzy wbiegli w wąskie przejście pomiędzy kamienicą a parkanem, przytykającym do gruntu, na którym buduje się pawilon uniwersytecki przy instytucie fizycznym. Bieniarz dopadł już złodziei, z których jeden zdołał już przeleźć parkan, na który drugi złodziej się wdrapywał. Wtedy złodziej, który przed chwilą strzelił do Oryszczaka, podał swemu towarzyszowi browning. Zahuczały trzy strzały. Bieniarz trafiony dwiema kulami w czoło padł na miejscu trupem. Złodzieje uciekli. W pół godziny po zajściu przybyli komisarze i agenci. Oryszczaka ciężko rannego odstawiono do szpitala. Złodzieje, jak wykazało dochodzenie, dostali się do kamienicy tąsamą drogą, którą uciekli, a mianowicie przez parkan od strony budowy pawilonu uniwersyteckiego. Zostali zaskoczeni w chwili, gdy splondrowawszy mieszkanie, w którem porozbijali wszystkie szafy, biurka, stoły, zabierając wszystko od kosztowności do bielizny, pościeli, perfum, grzebieni itp., zamierzali ulotnić się z łupem. Rozesłano po całej dzielnicy agentów i żołnierzy policyjnych w pościg za zbrodniarzami. Poszukiwania w części dały korzystny rezultat. Jeden z policyantów zauważył na ulicy św. Zofii jakiegoś człowieka, zachowującego się niespokojnie i zdradzającego obawę. Przytrzymał go więc i sprowadził na miejsce zbrodni, gdzie poddano go badaniu. Aresztowany wypierał się winy. Jeden z komisarzy porównał ślady stóp zbrodniarzy z obuwiem aresztowanego i okazało się, że buty jego zupełnie zgadzały się z jednym ze śladów, na którym został odbity nawet dokładnie odcisk gumki na bucie aresztowanego. Komisarz pojechał natychmiast do szpitala, gdzie skonfrontował aresztanta z Oryszczakiem. Oryszczak ciężko ranny w pierwszej chwili nie mógł go rozpoznać, zeznał tylko, że złodziej, który strzelił do niego, miał na głowie czarny, twardy kapelusz. W takim kapeluszu był właśnie aresztowany. Później Oryszczak, przyglądnąwszy się dokładnie aresztantowi, stwierdził, że poznaje go. Zamordowany dozorca domu Bieniarz liczył lat 27, pochodził z Woli Wielkiej w powiecie ropczyckim; pozostawił w nędzy żonę i dziecko. Oryszczak liczy lat 26, jest również żonaty; prawdopodobnie zostanie uratowany. Aresztowany pod zarzutem zabicia dozorcy, nazywa się Jerzy Szutryk, lat 22. Przy dwukrotnej konfrontacyi z ranionym Oryszczakiem, ranny poznał w nim strzelającego.

Z kraju.

O „zamachu“ na Feuersteina w Drohobyczu donosi lwowski „Wiek nowy“ następujące szczegóły: W poniedziałek wieczorem przyjechał do Drohobycza Jakób Feuerstein równocześnie z byłym starostą Piątkiewiczem. We wtorek o godz. 7 wieczorem szedł Feuerstein w towarzystwie Motla Sternbacha, zdążając ku domowi przez Rynek. Stojący na progu swego sklepu Jakób Schreier zauważył, że za Feuersteinem podąża jakiś człowiek w stroju przedmieszczanina o rudym kolorze włosów. Gdy zbliżył się do idących wydobył nagle rewolwer i chciał oddać strzał w plecy Feuersteina. Nabój zawiódł widocznie, bo kurek klapnął a strzał nie padł. Na krzyk Schreiera człowiek ów zbiegł. Tłum ludzi rzucił się za nim w pogoń. Jakiś obcy podróżujący chwycił uciekającego za ramię, ten wyrwał mu się i uciekł. Policya i żandarmerya poszukują dotychczas bez skutku sprawcę zamachu. Do samego rana pluton policyi pilnował mieszkania Feuersteina.

Kradzież w Zakopanem. Onegdaj dokonano w Zakopanem kradzieży na szkodę Wandy hr. Rozwadowskiej, Grohmana, Maryi Rychter i Janiny Cybulskiej: pierwszej z nich skradziono kwit bankowy na 8000 rubli.

Zamordowanie żony. W oddalonej o milę od Stanisławowa wsi Jamnicy przed kilku dniami wieśniak Hawryło Szpilczak dokonał mordu na własnej żonie. W krytycznym dniu Szpilczak pozabijał okna okiennicami, bramę pozawiązywał sznurami i drutem, aby się nikt nie mógł dostać do środka. Wieczorem sąsiedzi usłyszeli przeraźliwe krzyki w domu Szpilczaka, jednakże nikt nie spieszył z pomocą. Nazajutrz Szpilczak opowiadał, że zamordował żonę i, że ma „mięso do sprzedania“. Wówczas wieśniacy pospieszyli na miejsce wypadku, lecz Szpilczak, trzymając orczyk w ręku, zapowiedział, że zamorduje każdego, kto się poważy zbliżyć do niego. Zastraszeni chłopi cofnęli się i zawiadomili wnet żandarmeryę w Stanisławowie. Gdy przybyli 2 żandarmi ze Stanisławowa, Szpilczak zachował swą groźną postawę. I tylko sprytowi żandarmów udało się zarzucić mordercy kajdanki na ręce. Straszny widok przedstawił się oczom żandarmów, kiedy weszli do wnętrza mieszkania. U progu drzwi trup kobiety. Bezkształtna głowa robiła wrażenie bryły mięsa. Mózg rozprysł się po ścianach i przylepł do obrazów świętych. W kącie skulone siedziało dwuletnie chłopię, oniemiałe ze strachu, a w koszu kwiliło kilkumiesięczne dziecko. Szpilczak z całym spokojem opowiedział szczegółowy przebieg mordu.

Ze świata.

Wstydzi się własnych rozporządzeń. „Rjecz“ ogłasza okólnik naczelnego dyrektora kolei mikołajewskiej (linia, łącząca Petersburg z Moskwą), w którym tenże gromi naczelników poszczególnych działów tej kolei za złe wykonywanie tajnego cyrkularza, wydandgo do nich w roku ubiegłym, a polecającego nieprzyjmowanie do służby kandydatów pochodzenia nierosyjskiego.

Pan Iwanowskij nietylko oburza się na to, iż jego cyrkularz nie jest dość surowo przestrzegany tak, iż zdarzają się wypadki przyjmowania do służby nie-Rosyan, lecz potępia i sposób, w jaki odbywa się odmawianie posad „inorodcom“.

Chciałby mianowicie, ażeby o d i u m spadało nie na niego, lecz na odmawiających, i ma na to gotowy argumnet, że cyrkularz swój nazwał tajnym, ergo kto o jego rozporządzeniu wspomina, narusza tem samem — zatrzeżoną tajność.

Przytaczamy odnośny ustęp cyrkularza:

„Osobom pochodzenia nierosyjskiego dawane są wręcz odpowiedzi, że nie mogą otrzymać posady wskutek okólnika dyrektora kolei, co jest podwójnym nietaktem: wobec tych osób (?) i wobec okólnika najzupełniej tajnego, który nie powinien być nawet częściowo ujawniony“...

Dalej zaś pisze konspirujący się dygnitarz czarnoseciniec: „Przy odmawianiu udzielenia posady zalecam bezwarunkowo nie pozwalać sobie powoływać się na ściśle tajny okólnik p. dyrektora kolei lub na n i e i s t n i e j ą c e r o z p o r z ą d z e n i e p. m i n i s t r a k o m u n i k a c y i, jak to niedawno pozwolił sobie uczynić jeden z naczelników miejscowych“.

Ze słów tych widać, iż ów Iwanowskij z własnej gorliwości, recte podłości wszczął nagonkę przeciwko inorodcom na kolei przechodzącej przez okolice, nie „wymagające“ żadnej rusyfikacyi, że w tym wypadku nie był echem rozkazu ministeryalnego.

I oto za swoje własne rozporządzenie nie chce wziąć odpowiedzialności wobec opinii publicznej: woli się kryć za kulisami i żąda od podwładnych poddania się takiej sytuacyi, ażeby oni pomawiani byli o czarnoseciń若stwo. Wygodny szef.

Choroba carowej. Z Petersburga donoszą: Jest już pewnem, że para carska tego roku nie przyjedzie do Nauheim. Carowa rozpoczęła kuracyę nauheimską w Petersburgu. Pewien lekarz z Nauheim był w Petersburgu i stwierdził, że kuracya odniosła skutek.

Kongres syonistów. Z Bazylei donoszą: Kongres syonistów otworzył Wolfsohn. Obecnych jest 500 delegatów. Na wniosek komitetu wykonawczego uchwalono wysłać do rządu tureckiego telegram kondolencyjny z powodu pożaru i 5000 franków na pogorzelców. Potem mówił Max Nordau o sytuacyi żydostwa. Prezydentem biura kongresowego wybrano Nordaua.

Katastrofa automobilowa. Z Osnabrück donoszą: Automobil ks. Henryka pruskiego, (brata Wilhelma) wracającego z Holandyi, uderzył o drzewo. Książę wyszedł bez szwanku, szofer doznał złamania czaszki, adjutant księcia ranny.

Pożar fabryki. Z Tryestu donoszą: Przed południem w fabryce linoleum w San André wybuchł wielki pożar i zniszczył 3 piętrowy magazyn i budynki pobliskie. Szkoda ogromna. Przy gaszeniu pożaru 6 funkcyonaryuszów fabryki doznało uszkodzeń. Ogień powstał wskutek krótkiego spięcia. Szkodę obliczają na przeszło ćwierć miliona koron.

Wybuch na okręcie. Z Rotterdamu donoszą: Wskutek eksplozyi na parowcu „Guttenberg“ 10 osób odniosło rany.

Katastrofa budowlana. Z Budapesztu donoszą: Przy budowaniu nowego domu w ulicy Farkany runął mur ogniowy domu sąsiedniego. 1 osoba zabita, 2 ranione ciężko, 5 lekko.

Wybuch prochowni. W Oberwil w dolinie Renu (w Szwajcaryi) wskutek podpalenia wyleciał w powietrze magazyn prochu przedsiębiorstwa regulacyi Renu. Magazyn zawierał 18 beczek dynamitu, 7 prochu i wielką ilość kapsi. Wiele domów uszkodzonych. — W kościele zostały wybite cenne witraże.

TELEGRAMY

z dnia 20 sierpnia.

Cholera.

Morawska Ostrawa. Zmarł tu wśród objawów podejrzanych o cholerę robotnik Kurz.

Tryest. Stwierdzono tu nowy wypadek cholery.

Lublana. Z obawy przed zawleczeniem cholery odwołano kongres studentów katolickich.

Salonika. W Ipek zmarło na cholerę 39 osób, w Diakowa 4, w Mitrowicy zachorowało 19, zmarło 7, w tem 2 żołnierzy.

Trzęsienie ziemi w Keczkemet.

Keczkemet. Według zestawienia urzędowego, szkoda w nieruchomościach wskutek trzęsienia ziemi wyrządzona dochodzi do 12 milionów koron.

Przesilenie gabinetowa w Turcyi.

Konstantynopol. Pogłoski o zmianie na stanowisku wielkiego wezyra są conajmniej przedwczesne. Francya udzieliła „agrement“ dla ministra spraw zagranicznych Rifaata paszy jako ambasadora w Paryżu. Rifaat pasza zająłby to stanowisko dopiero po upływie $1^1/_2$ miesiąca. Nominacya to także dopiero wtenczas będzie opublikowaną.

Republika w Portugalii.

Lizbona. Zgromadzenie narodowe oświadczyło się za wybieralnością prezydenta republiki.

Walka z lordami.

Londyn. W Izbie lordów w dyskusyi nad wnioskiem o zmianę bilu parlamentarnego oświadczył lord L a n d s d o w n e, że niema wogóle widoków, aby rząd przychylił się do stanowiska lordów. Lordowie wiedzą, że w razie podtrzymywania swoich wniosków będą przegłosowani skutkiem wkroczenia królewskiej prerogatywy (t. j. przez nominacyę nowych lordów). N i e m a j u ż m o ż n o ś c i d a l s z e g o s k u t e c z n e g o o p o r u p r z e c i w p o l i t y c e r z ą d u.

Ci, którzy przyszli do tego przekonania, proponują, aby w s t r z y m a ć s i ę o d d a l s z e g o m i e s z a n i a s i ę w t ę s p r a w ę; oświadczają jednakże, że jeżeli zdarzy się sposobność, nie zaniedbują niczego dla przywrócenia konstytucyjnej równowagi, zamąconej przez rząd.

Lord H a l b u r g oświadczył, że nie da się nastraszyć pogróżkami rządu. Wstrzymanie się od głosowania byłoby popieraniem rządu. Mowcy nic nie zdoła wstrzymać od głosowania p r z e c i w b i l o w i, o którym ma przekonanie, że jest złym i szkodliwym przykładem ustawodawstwa.

Arcybiskup Jorku podniósł, że byłoby bezwzględnem ze strony lordów i szkodliwem dla Izby i dla kraju, gdyby króla zmuszono do zamianowania nowych parów.

Lord S a l i s b u r y poparł wywody Halbury'ego i żądał, żeby pozwolono każdemu głosować jak chce bez względu na konsekwencye.

Dalszą dyskusyę odroczono.

Strajki w Londynie.

Londyn. Z powodu odezwy wydziału wykonawczego „Trade-Unionów“ zastrejkowało 30.000 woźniców. Na ulicach nie widać wcale wozów ciężarowych. Na głównych ulicach strejkujący wzywają woźniców do zaprzestania pracy. S t r e j k r o z s z e r z y s i ę z a p e w n e i n a d w o r z e c t o w a r o w y. Niektórzy woźnice kolejowi już wstrzymali pracę. Ogromne mnóstwo owoców i środków żywności leży na stacyi, bo niema sposobu wyekspedyowania ich.

Londyn. Dzienniki donoszą, że sekretarz związku robotników portowych wydał wczoraj hasło do o g ó l n e g o s t r e j k u, który obejmie wszystkich robotników w porcie londyńskim. W ten sposób liczba strejkujących dojdzie do **100.000.**

Londyn. Wczoraj przyszło do niepokoi w dokach „Wschodnie Indye“. Policya po otrzymaniu posiłków rozpędziła tłum. Kilka osób rannych przewieziono do szpitala.

Groźba strojku kolejowego w Ameryce.

Nowy Jork. Sytuacya na kolejach jest niewyjaśnioną. Towarzystwa kolejowe zamierzają na wypadek strejku podjąć walkę, choćby ta walka miała dłuzszy czas trwać i była dla obu stron bardzo kosztowną.

Katastrofa okrętowa.

Gibraltar. (Biuro Reutera). Francuski parowiec „Emir“, który wczoraj rano odjechał z Gibraltaru na wybrzeże marokkańskie, zatonął o pięć mil na wschód od Tarifa (miasto w Hiszpanii). Zginęło **93** ludzi.

Marsylia. Parowiec „Emir“, zderzywszy się z angielskim parowcem „Silverton“, zatonął. Kapitan „Emira“ uratował się. „Silverton“ przyjął na swój pokład 27 z wyratowanych osób.

Gibraltar. Biuro Reutera donosi, że z pasażerów „Emira“ wyratowało się 15, z załogi 12 ludzi.

Rewolucya na San Domingo.

Nowy Jork. Wedle telegramu z Cap Haitien niemiecki i włoski konsul zaprotestowali przeciw temu, że tłum w niedzielę obrzucał konsulaty kamieniami. Władze wydały rozkaz surowego karania ekscesów przeciw konsulatom.

Baczność Towarzysze!

Towarzystwo budowy Domu Robotniczego w Krakowie. Wpisy członków przyjmuje tow. K u d ł a w Związku stowarzyszeń robotniczych, ulica Filipa l. 2, od godziny 7—8 wieczorem w dni zwykłe i od 10—12 w święta i niedziele.

Przesyłki pieniężne i listy należy nadsyłać na ręce skarbnika tow. dra K a p e l l n e r a, Jagiellońska 5, II. p.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Ogłoszenia petitowe o zgromadzeniach i zebraciach można umieszczać tylko za opłatą **40 haterzy** od jednorazowego ogłoszenia. Zapowiedzi balów, zabaw i przedstawień kosztują **1 koronę** za jednorazowe ogłoszenie.

* **Konferencya wszystkich towarzyszy** zgłoszonych przez Zarządy grup do komitetu obszernego Festynu ogrodowego w Parku Jordana odbędzie się we czwartek dnia 10 sierpnia o g. 7 wieczór w Związku Stow. rob. (Filipa 2). Wszyscy towarzysze potrzebni celem rozdania im czynności na festynie.

Równocześnie Zarząd Związku prosi wszystkich towarzyszów r o w e r z y s t ó w, aby stawili się na tę konferencyę, celem omówienia korsa kwiatowego.

* **Zarząd Związku** odbędzie posiedzenie w sprawie Festynu w piątek dnia 11 bm. o godz. 7 wieczór. Obecność wszystkich członków konieczna.

* **Towarzysze!** Na wszelkie odczyty i zgromadzenia partyjne przychodźcie bezwarunkowo **z żonami, siostrami i córkami!**

NADESŁANE.

(Za dział ten redakcya nie odpowiada).

Wyrazy głębokiego współczucia składamy p. Jakóbowi Wortsmanowi dotkniętemu bolesną stratą matki.

Personal firmy
Cohn & Liebeskind.

Wydawca: Ignacy Daszyński. — Odpowiedzialny redaktor: Maryan Pyrzowski.

Z Drukarni Ludowej w Krakowie, ul. Filipa 11. (Telefon Nr. 710).